

Dnia 1 września roku pamiętnego

Prof. Edward Soczewiński: Zabawa w wojnę

Ulica Majdanek. Czteryście metrów od wytwórni samolotów (dawna Plage/Laśkiewicz). Pachną sierpniowe floksy w ogródkach. Upał. Chłopaki z ulicy bawią się w wojnę z tymi z Gromadzkiej. Pobliska kopalnia piasku świetnie nadaje się na okopy. Idą proce w ruch. Majdanek goni Gromadzką przez piach, ale Gromadzka się nie daje - deszcz kamyków celnie pozbawia przeciwnika zwycięstwa. Dorośli dyskutują: Hitler wedrze się, czy jednak nie.

Po wakacjach Edward ma iść do piątej. Szykuje zeszyty. Pod koniec sierpnia Adam Soczewiński, robotnik, dostaje wezwanie do wojska. Edward pamięta, że tego wieczora cicho i długo ojciec rozmawia z matką. Pierwszego września w radiu u sąsiada komunikat, po którym dorośli zastygają na chwilę w trwodze. Szkoły nie ma. W dwa dni potem rankiem Edward bawi się przed domem. Nagle z nieba dochodzi przeraźliwy dźwięk: ni to wycie, ni to gwizd, i buuuch! Uciekają z matką za dom, kucają za krzakami bzu. Stamtąd widać pole, tory kolejowe, a na nich wagony, z których wysypują się polscy żołnierze. Niedobrze, Niemcy właśnie w nich będą walić. I znów buuuch! I leci bomba jedna za drugą. Są zabici. Część ulicy zburzona. Nim ucichnie, przyjadą na Majdanek karetki. Zbiorą rannych. Bez rąk, nóg i dziwne, okaleczone ludzkie kadłuby. Edward widzi, jak po schodkach do jednej z karetek spływa krew. Tego dnia chłopaki zbierają jeszcze ciepłe odłamki. Oglądają kawałki żelaza. Ważą w rękach. Wąchają. Wojna śmierdzi spalenizną. Ulica Majdanek, sąsiedztwo lotniska, jest strategicznie narażona na bombardowanie.

Uciekają z matką do ciotki na Rybną - tam w piwnicy, trzy piętra w dół, przeczekują drugie bombardowanie. Kobiety się modlą, ktoś jęczy przeciągle: O Jezu Chryste, O Jezuuu... Między piętnastym a siedemnastym września Edward widzi pierwszych Niemców. Halt, halt! - rozlega się na ulicy Majdanek. Wehrmacht rewiduje domy, aresztuje mężczyzn. U Soczewińskich zabierają wujka, brata matki. Jeden z żołnierzy wpatruje się przez chwilę w słoik ze śmietaną stojący na kuchennym stole. Wypija duszkiem cały litr. Z pamiętnych wojennych kadrów zostanie jeszcze wiele. Jak choćby widok wisielca pod magistratem. Mężczyzna wisi na słupie, na piersiach tektura i napis: Skazany na śmierć za okradanie przesyłek pocztowych. Czy jakoś tak. Gapie szepcą: to Józefowski, pracownik urzędu pocztowego w Piaskach, zatrzymywał listy adresowane do gestapo...

Prof. Maria Modzelewska: Wojenny ślub

Wakacje 1939 roku. Maria Chorażanka, lat osiemnaście, oddycha z ulgą: już po maturze. Żegnaj, szkoło! Żegnaj, kochane gimnazjum Unii Lubelskiej! W nagrodę za świetne świadectwo odpoczywa u ciotki Wandy Chmielewskiej w Katowicach. Dom zamożny, patriotyczny. Wuj zasłużony dla Polski - wrywał kopalnie z rąk niemieckich. Fruwają z ciotką po magazynach i salonach. Wanda kompletuje siostrzenicy dorosłą szafę. Przyda się na wrześniowy rejs. Ten rejs to druga nagroda za zdaną maturę: Maria popłynie Batorym wśród norweskich fiordów. Ach, jaka piękna jest ta dorosłość - cieszy się.

Radość psuje słowo wojna. Mówi się o korytarzu, o Gdańsku... Ale przecież sojusz z Anglią i Francją daje pewność, że przyjaciele w razie czego razem z Polakami złapią Hitlera za tyłek. No jakże tak nie wierzyć dżentelmeńskim zapewnieniom! - uciszają niepokój eleganckie panie przy herbatce.

1 września w willi urzędnika Chorażego przy ulicy Wieniawskiej w Lublinie (tam mieszkali urzędnicy magistratu i Urzędu Wojewódzkiego) słycać radiowy komunikat. Słupy graniczne obalone. Maria z młodzieńczą beztroską odpycha smutek: jest śliczna pogoda, a poza tym tylko patrzeć, jak włączają się zachodni sojusznicy. Przecież to cywilizowane narody... Poważnieje, kiedy Niemcy aresztują wojewodę de Traumecourta, a także jej ojca. Wojewoda już nie wróci. Ojciec ujdzie z życiem.

To będzie dopiero przygrywka. Niewinny wstęp do ciężkich, wojennych lat.

Idą z Wandą Iwańską, przyjaciółką ze szkoły, Krakowskim Przedmieściem. Patrzą: od dzisiejszych Alei Raclawickich suną budy. Uf, marnie, bo w torebkach kartki z wierszami patriotycznymi. Taka moda młodzieżowa, wyraz cichego oporu przeciw okupantowi. Nosi się, czasem wyjmując, czyta w zaufanym towarzystwie dla podniesienia na duchu. A teraz strach. I co? Nagle olśnienie. Trzeba pobiec do szewca, róg Hipotecznej i Lipowej. Wycofują się z Krakowskiego i pędzą. Wpadają do warsztatu. Pod ścianą koza. Szewc gotuje klej do podeszew. Niczemu się nie dziwi. Dziewczyny niemal rozpruwają torebki i wrzucają zawartość w otwór piecyka. Już czyste wychodzą na ulicę - prosto w łapy żandarmów. Ojciec zawsze mawiał: „Ucz się, córko, języka sąsiadów”. Więc uczyła się niemieckiego. Mądrze radził - wspomina go z wdzięcznością, kiedy pakują ją i Wandę na ciężarówkę. Budy zatrzymują się na 1 Maja. Tam selekcja: znający niemiecki na prawo, nie znający na lewo. Wanda pojedzie na roboty do Rzeszy, Maria dostanie przydział w Związku Młynarskim, ulica 3 Maja 14. Jeździ na kontrole młynów, czasem przywozi z tych delegacji po woreczku mąki. To prawdziwe dobrodziejstwo w wojennej biedzie.

W 1942 roku pozna Janusza. Zdążył skończyć przed wojną medycynę w Warszawie. Zdążył zaliczyć Pawiak. Cudem, przy pomocy kolegi ze studiów, syna znanego anatoma prof. Lotha, ucieka z więzienia - wywożą go na wolność pod stertą zwłok.

Wojenny ślub, „za indultem” (wszystkie zapowiedzi w kościele za jednym zamachem) u babki, w niewielkim majątku w Łosicach. To ona, po śmierci matki, wychowała Janusza. Teraz ciężko chora, błaga o wizytę wnuka i jego narzeczonej. Więc jadą. Maria w jasnym kostiumie z Katowic, w zamszowych pantofelkach. Ciotki rezydentki podniecone: niechby i tu był ślub! Babka szczęśliwa - teraz już może spokojnie umierać. Zobacysz, nie wypuszczą nas - śmieje się Janusz, ale sprawa wygląda poważnie. Ciotki stają na wysokości zadania i łapią narzeczonych w misternie utkaną sieć. Nawet białą bluzkę pożyczają dla panny młodej.

Chorążowie dowiadują się o ślubie córki po trzech miesiącach. Trochę się boczą. W 1943 roku rodzi się Jacuś. Janusz będzie się ukrywał przez całą okupację. Dopiero zgarnie go II Armia Wojska Polskiego. Pod Mordami, gdzie stacjonuje 34. pułk piechoty, zwany później budziszynskim, dostaje ciężkiego zapalenia płuc. Stan słabo rokujący. Zawiadamiają żonę. Jest ostra zima. Maria wysiadzie z pociągu w nieznanym, przykrym mroku. Do celu ma kilka kilometrów, przed sobą las. Idzie na przełaj, brnie w śniegu. Z boku prowadzą ją trzy wilki. Udaje, że ich nie widzi, pamięta co mówią, że nie wolno dzikiemu zwierzęciu patrzeć w oczy. Jest mokrzuteńka. Nie wie nawet, jaką ma odwagę. Zdaży na czas: Janusz żyje.

Maria Nagnajewicz: Lubelski exodus

(Zanim Maria, rocznik 1915, zacznie wojenną opowieść, wyrecytuje w czystej grece początek „Iliady” Homera oraz „Exegi monumentum”, słynną odę Horacego we własnym przekładzie. Jest filologiem klasycznym, niedokończonym z powodu wojny i rodzinnych obowiązków. Jej mąż Marian Nagnajewicz to także filolog klasyczny.)

Urodzona w Salzburgu, dokąd w 1914 roku dziadek Włodzimierz Krynicki, kolejarz, zabiera z Rzeszowa całą rodzinę w obawie przed Moskalami, którzy zajmują właśnie zachodnią Galicję. Do Lublina ojciec Marii Bronisław Szwarczyk ściąga w 1920 roku. W 1926 do nowo wybudowanego domu spółdzielczego dla urzędników państwowych, róg Narutowicza i Strażackiej wprowadza się reszta rodziny. Tu kończy się miasto, dalej jest wieś - Rury Jezuickie.

W 1933 roku, właśnie wtedy, kiedy Hitler dochodzi do władzy, Maria pisze u urszulanek na maturze temat: „Dlaczego dla żadnego Polaka nie może istnieć kwestia Pomorza?” Uzasadnia celująco. Dlatego komisja podwyższa jej stopień również z historii. Na studia idzie na KUL, na filologię klasyczną, z rozsądku: chciałyby na polonistykę, ale polonistów sporo, a klasyków wręcz przeciwnie. Marian jest o dwa lata wyżej. Miłość, ślub. Na świat przychodzi Hania. Maria choruje, jedzie do sanatorium. Przerywa studia.

Wakacje 1939. Z myślą o powrocie na uczelnię wkuwa na wsi do egzaminów. 31 sierpnia Mariana wzywa ojczyzna. Wojnę Maria zna z ćwiczeń, jakie studenci przechodzili w piwnicy pod hotelem Victoria przy Krakowskim Przedmieściu, trenując nakładanie masek gazowych.

Bombardowanie 2 września przeczekują z Anielą w zacisznej kuchni. O wiele gorsze jest to

9 września. Niemieckie bombowce wałą bez opamiętania. Myśleli, że właśnie tego dnia urzędnicy rządowi zatrzymali się w Lublinie i dlatego - skomentują później ludzie. W czasie nalotu zostaje ranny w skroń brat Marii Jasiek, prawnik, zatrudniony w biurze przy Kapucyńskiej. Ginie jego koleżanka z pokoju.

W mieście panika. Exodus. Pół Lublina ucieka. Ojciec Marii, jej bracia: Staś i Jaś, siostra Basia także. Ludzie chronią się w okolicznych wsiach, śpią po chałupach i stodołach. Uciekinierzy zapamiętają niezwykłą ludzką życzliwość tamtych czasów. Maria zostaje z ciotką Anielą i malutką Hanią. Od strony Rur przychodzą Niemcy. Wałą do drzwi. Jest broń? - pyta żołnierz i patrzy na rozłożyste biurko w gabinecie Mariana. Otwiera szuflady. Jedna zamknięta na klucz. Gdzie klucz? - dopytuje się. Nie wiem... - zgodnie z prawdą odpowiada Maria. Niemiec szarpie bez skutku jeszcze raz i zniechęcony wychodzi. Obydwie z Anielą wyważą potem tę szufladę - znajdą w niej rewolwer.

Wszyscy Szwarczykowie zaangażowani są w walkę podziemną. Najstarszy Jan, żołnierz VIII pułku generała Smorawińskiego, walczyć będzie wkrótce w RAF, w dywizjonie 301. Bronisław Szwarczyk pracować będzie w tajnym nauczaniu. Basia - w szeregach Armii Krajowej, jako łączniczka. Po wojnie wpadnie w łapy stalinowskiego reżimu. Dzielnie przetrwa więzienie mokotowskie i Fordon. Po latach napisze przejmujące wspomnienia.

Trzeci raz Niemcy bombardują Lublin 13 września. Wieści o Marianie nie ma. Nagle, w listopadzie, przychodzi zwykła kartka wyrwana z zeszytu: żyję, jestem w stalagu w Częstochowie... Ktoś życzliwy odebrał wiadomość i podał dalej, na wolność. Radość! Maria jedzie natychmiast. Towarowym przez Warszawę, potem jakąś furmanką... Jest w ciąży, szósty miesiąc. Widują się przez tydzień. Marian jest tłumaczem w kancelarii. Jego szef to Austriak, z wykształcenia także filolog klasyczny. Ciceron i Horacy wyraźnie pomagają porozumieć się najeźdźcy i jeńcowi: 6 stycznia 1940 roku, kiedy stalag będzie się ewakuować w głąb Rzeszy, jakaś niewidzialna ręka wyciągnie Mariana z szeregu jeńców.

Maria, jak wielu lublinian, straci tej wojny mieszkanie przy Narutowicza. Dostanie domek przy ulicy Szerokiej, pod zamkowym murem, po Żydach. Teresa, druga wojenna pociecha, do dziś pamięta smak świńskich uszek, ugotowanych przez ciotkę Anielę i widok człowieka przechodzącego przez mur. Kiedyś dziewczynki bawią się na gruzach, a potem opowiadają Marii z przejęciem zasłyszana wiadomość: „Wiesz mamusiu, Niemcy taką małą Żydóweczkę złapali”.

Daniela Piątek, księgowa: Pierścionek z turkusem

Na Lubartowskiej, pod numerem 59, stała kamienica dziadków. Tam się urodziła Daniela. Dziadek pracuje u Hessego, a ojciec Daniela jest mistrzem wagarским. Ale perspektywy dają Kresy, nie Lublin. Ziemia tam tańsza i w ogóle życie. Na mistrza wagarza czeka Kowel. Jadą. Daniela malutka. Ojciec zakłada tam własny warsztat, a w niedługo potem wyrasta niewielki, ale wygodny

dom dla rodziny. W Lublinie zostaje część rodziny. Ojca chrzestnego widzi Daniela 17 września. Przed Niemcami uciekł z synkiem, byle dalej od bombardowań, a tu, proszę, nowy wróg - Ruscy. Po drugiej stronie domu wprowadza się oficer radziecki z rodziną. A tam porządne meble po poprzednim lokatorze, kapitanie, fortepian... Więc babcia szepce czasem Danieli: idź Danusiu, zobacz, czy tam czasem czego nie psują. I Daniela zagląda przez uchylone drzwi do mieszkania sąsiadów. Patrzy, a tam syn Ruskich, taki mały rudzielec, chodzi w buciorach po klawiaturze, tupie po klawiszach.

Pierwsza wywózka z Kowla na wschód. Najpierw wojskowi, inteligencja. - Ty prosty robotnik i dom własny masz? To jaki z ciebie robotnik? - dziwi się sowiecki kapitan. - Burzuj z ciebie, ot, co!

Syberyjski śnieg przywożą ze sobą Sowieci na pierwszą okupacyjną zimę. Z każdego domu wyznaczają mężczyzn do odśnieżania torów. Kowel to ważny węzeł. Ojciec idzie za syna Edzia. Marnie ubrany, w samym szaliku. Wieczorem dostaje gorączki. Wywiązuje się zapalenie płuc. Jest luty. Tygodniami leży w sypialni rodziców i ciężko oddycha. Daniela zapamięta, jak w ciepły majowy dzień ten oddech ustanie na zawsze.

W 1941 roku rodzina sowieckiego oficera wyprowadza się w popłochu. Wchodzą Niemcy. Bracia - Zdzisiek i Edzio - idą do partyzantki, do AK. Do lasu jadą furmanką, ze zdobyczym pistoletem ukrytym pod słomą. Na rogatkach halt. Wycofują się, za kilka dni próbują jeszcze raz z tym szmuglem.

Będzie jednak wywózka. Ale na zachód, w kierunku Lublina. W 1944 poprzedza ją oblężenie Kowla. Ludność cywilna i Niemcy w środku pierścienia, wokół Rosjanie. Sześć tygodni strachu i głodu. Koszmar. Matka pakuje Danielę do łóżka, kładzie w poprzek, żeby wyglądała jak małe dziecko. Nietrudne. Daniela, wygłodzona, anemiczna, i tak przypomina kilkulatkę. W łóżku będzie bezpieczniej. Bomba trafia w mieszkanie po drugiej stronie domu. Zostaje głęboki lej.

I wreszcie wywózka. Niemcy nie utrzymują już miasta. Pozbywają się cywili. Babcia roztropna, pakuje w tłumok co najlepsze - futro i wełniane garnitury ojca. Z nich matka uszyje Danieli spódnice, które będzie nosić jeszcze po studiach. Pociąg staje w Lublinie, przed stacją. Ludzie trafiają do obozu na ulicę Krochmalną. A potem nie wiadomo gdzie. Życzliwy kolejarz pomaga: wypuszcza Danielę i resztę rodziny z wagonu. Ale babcia się gdzieś zapodziewa. Szukają. Bez skutku. Zmartwione idą do kuzynki na ulicę Graniczną. Po naradzie rodzinnej wznawiają poszukiwanie. Jest, znalazła się! - ucieszą się po kilku dniach. Babcia, dotransportowana na Krochmalną, wykpi się. Przekupi wartownika złotym pierścieniem z turkusowym oczkiem. Tym, o którym zawsze mówiła: „O, a ten będzie dla Danusi, jak podrośnie”.